**Zapraszam na spotkanie z panią Leokadią Paligą, która opowie nam między innymi o przedwojennych Mościcach. Jakie były…** Czyste, piękne i zielone bardzo mi się to podobało. **O codziennych radościach…** Ja patrzyłam przez okno kiedy przyjedzie z tymi pysznymi rogalikami i kajzerkami. **O niezwykłych wrażeniach z pewnego lotu balonem...** Słyszy się ciszę w tym balonie, jak się leci. Wrażenie cudowne. Czegoś takiego to się nie przeżywa nigdzie.

**Monika Faron: Punktem wyjścia do tej opowieści będzie czarno-biała fotografia z 1935 roku. Na pierwszym planie mała dziewczynka w pięknym płaszczyku i czapce z ozdobnym pomponem. W tle, na horyzoncie, widać kilka, olbrzymich statków powietrznych. To balony, które biorą udział w zawodach balonowych w Mościcach.**
Leokadia Paliga: Tak, to były nie wiem czy zawody krajowe wie Pani, że nie wiem. Nie zastanawiałam się nad tym czy to krajowe, czy zagraniczne były wtedy też, ale pamiętam że dużo było wtedy tych balonów.

**MF: Bardzo dużo! To zdjęcie jest takie wręcz takie surrealistyczne. Bo mamy czarno-białą fotografie sprzed blisko 90 lat. Prawda? I te statki powietrzne robią tak nieprawdopodobne wrażenie i ta dziewczynka... Jak Pani pamięta te swoje wrażenia? No bo klub balonowy w Mościcach powstał jako chyba pierwszy w ogóle w Polsce?**

LP: Nie. W Warszawie był.

**MF: Taki przez cywilów zorganizowany?**

LP: A wie Pani, że nie sięgałam jakoś nigdy, nie rozmawialiśmy. Człowiek nie był tak za bardzo zainteresowany, bo było za dużo innych zainteresowań (śmiech) w tym wieku, nie tylko balony. Ale był i sport- siatkówka i były wycieczki. To nie wszystko. Poznać świat, poznać Polskę to też byłam zainteresowana - wędrować albo jeździć.

**MF: Miała pani kilka lat i Mościce były zupełnie wyjątkowym punktem na mapie Polski i znaczącym na mapie Europy, jeżeli chodzi o sport balonowy.**

LP: No naturalnie, były warunki dobre. Gaz na miejscu - to ważne było. Bo jak balon jest na metan to metan jest ciężki i wtedy nie zabierze tyle załogi co wodór, bo wodór jest lekki. Także my mieliśmy doskonałe warunki na ten sport balonowy dlatego tak się rozwijał tutaj. Urządzali te różne zawody właśnie tą pogoń za lisem, jak ją opisywał Huelle w tej książce „Mercedes- Benz”. Zresztą pani Huellowa - mama tego pisarza - ona nas uczyła, była naszą wychowawczynią. Skończyła Politechnikę Lwowską i tutaj z mężem przyjechała. Długie lata odwiedzałam ją, taka przyjaźń się wywiązała. No i właśnie w tym „Mercedes- Benz” przeczytałam, jak to brała udział w zawodach w pogoni za lisem, razem z mężem.

**MF: Wspaniały rozwój Mościckiego klubu balonowego i pasmo sukcesów pilotów tego klubu przerwała wojna. Minęło wiele lat i Mościce znów zobaczyły balony, a był to rok 1961. Wówczas przy ZKS Unia Tarnów założono sekcję balonową, w której pani Leokadia wraz ze swoją koleżanką, działały jako załoga naziemna.**

LP: Działalność sekcji balonowej przy ZKS Unia Tarnów została wznowiona w 1961 roku. Dzięki pomocy kapitana Józefa Urbaniaka, inżyniera Jana Zygadły, którzy to przed 39 rokiem, oni w ogóle byli pilotami balonowymi i naturalnie to wszystko działo się przy pomocy klubu sportowego Unia. Ta pomoc przy wznowieniu działalności. Działalność ta spotkała się z dużą życzliwością ze strony dyrekcji zakładów azotowych a w szczególności ówczesnego dyrektora inżyniera Stanisława Opałki i inżyniera Szczypińskiego. Inauguracja działalności nastąpiła 2 lipca ‘61 roku startami balonów „Warszawa” i „Syrena” (przywieźli te balony z Warszawy), z terenu stadionu Unii Tarnów z Mościcach. Niestety zdjęcia nie mam. Robiłam zdjęcia przed tymi balonami, był tam mój tato z wnukami siostry, synami. Siostra zabrała to do albumu.

**MF: Pani Leokadio, nie mamy zdjęcia, ale mamy pani dziennik lotów. Leokadia Woś Paliga.**

LP: Tak.

**MF: I mamy na pierwszej kartce właśnie to zapisane pani zresztą bardzo pięknym pismem „Inauguracja działalności sekcji balonowej przy ZKS Unia był start balonów „Warszawa” i „Syrena” w dniu 2 lipca 61 roku ze stadionu Unia Tarnów. Załogę balonu Warszawa pojemność 2200 m3…**

LP: Tak, olbrzymi balon był.

**MF: …stanowili inżynier Burzyński i inżynier Gawęda, nawigator tak?**

LP: Już powiem. Nawigator Gawęcki, on był z Poznania bodajże.

**MF: A załogę balonu „Syrena” (to już mniejszy balon) pojemność 1200 m3, stanowili pilot pan Musiał, nawigator pan Rogalski i jeszcze…**

LP: Honorowi goście: pan Kazimierz Bryg - on działał w sporcie on był chyba prezesem wtedy, o ile dobrze pamiętam i pani Szotowa - to była żona pierwszego sekretarza partii. Pan Szot leciał razem z dyrektorem Opałką i Tomusiak tym większym balonem. Bo to był olbrzymi balon więc oni lecieli w piątkę. Bo to jest na wodorze więc taka była możliwość. Gdyby lecieli na metanie to by nie było takiej możliwości.

**MF: Balony wylądowały w Kłokowej koło Tarnowa. Pamięta pani po ilu godzinach lotu?**

LP: Tak, około dwóch godzin.

**MF: Pani była w służbie naziemnej…**

LP: Ooo, jaka ważna byłam! To z Jadzią na zmianę.

**MF: To musiała Pani taki dziennik lotów prowadzić. A dzięki temu, wiemy dokładnie co działo się ładnych 60 lat temu. Więcej niż 60.**

LP: Ale koleżanka Jadzia zawsze tak mówiła: „Prowadź to, bo to bardzo ważne. To nam się przyda”. Bo to tak na zmianę załatwiałyśmy i ona tak zmobilizowała do tego, żeby to zapisywać. „Pisz, bo masz więcej czasu”. Dostawaliśmy te balony z Warszawy. Tą „Syreną” początkowo startowaliśmy, ale kiedy „Polonez”… Jakoś tego „Poloneza” wiem, że szybko dostaliśmy…

**MF: Szybko. Start balonu Polonez mamy 19 września 61.**

LP: Ano widzi Pani, to znaczy nam na tą inaugurację tylko pożyczyli to już nie pamiętałam tego, tą „Syrenę” i „Warszawę”. I potem mówili, że już się buduje ten nowy balon.

**MF: Czyli to był jeden balon?**

LP: Jeden. Jednym balonem startowaliśmy. „Polonez” to był taki nowoczesny balon, który nie miał siatki, ale miał uszy. To były takie trójkątne uszy, zakończone hakiem i tam się obciążało właśnie tym balastem, wieszało się do tego. No jak na złość właśnie tych zdjęć, przeglądałam jeszcze dzisiaj, i nie znalazłam tego „Poloneza” nigdzie. Może ktoś inny ma. Ja nie mam.

**MF: Ale jak to się stało, że pani nie ma z tych działań balonowych zdjęć?**

LP: No właśnie nie wiem co się stało. Wiem, że nieraz wiele osób szukało, coś dawałam, potem może zapominałam i mi nie zwrócili niektórych zdjęć. Ja tak się obawiam właśnie, bo miałam takie z chlorowni właśnie przy ładowaniu balonów, napełnianiu. Jak stoimy tam kilku z nas jak właśnie balon jest prawie napełniony tak, że byłoby go widać. Także na pewno komuś dałam do zwrotu naturalnie.

**MF: To się nazywa na wieczne oddanie.**

LP: Zwał jak zwał.

**MF: Zwał jak zwał, nie ma zdjęć. Nie ma zdjęć, ale za to jest dziennik lotów, w którym zachowały się wszystkie ważne wydarzenia z udziałem „Poloneza”.**

LP: „Balon „Polonez” bierze udział w Krajowych Zawodach Balonowych w Poznaniu w czerwcu 63 roku. Jako członek naszej sekcji bierze udział Józef Woźniak. 13 czerwca 65 roku balon „Polonez” bierze udział w Międzynarodowych Zawodach Balonowych w Wiedniu. Pilotem był pan Stanisław chyba Maknes z Poznania, a nawigatorem kolega nasz Józef Woźniak. Zajęli pierwsze miejsce osiągając odległość 52,6 km. Otrzymali puchary z ceramiki z makietami balonów, a przez cztery dni byli gośćmi prezesa wiedeńskiego Klubu. 27 czerwca 65 roku na zawodach w Poznaniu odbywając samodzielny lot kolega Woźniak zajął czwarte miejsce”. Tu zaznaczę, że powyższy opis przygotowano na podstawie dziennika lotów.

**MF: Z zawodów powracamy teraz do codzienności, bo tutaj w Mościcach oczywiście też odbywały się loty, głównie szkoleniowe. Co wówczas należało do zadań służby naziemnej?**

LP: Na przykład załatwiałyśmy służbę naziemną przy napełnianiu balonów. To wie pani, balon z siatką to ma co kawałek takie haki miał i trzeba było obciążać balastem czyli workami z piaskiem. To już było wszystko przygotowane, wypełnione. A panów zatrudniałyśmy ze straży przemysłowej. Wie Pani, każdy grosz się liczył wtedy, bo to nie były takie czasy żeby zarabiali, a oni pracowali po 12 godzin. My często, jak tu zaznaczone, startowaliśmy rano po 7:00. Czyli oni po pracy o godzinie 6:00, szło się dzień wcześniej do nich, kto może (pomóc)? Oni przychodzili i te parę złotych potem nie pamiętam już bo akurat tego nie pisałam.

**MF: Bo to było nielegalne.**

LP: Nie, nie było sprzeciwu, bo oni po pracy byli. No i z terenu zakładu więc nie potrzeba było. Część z naszych członków sekcji balonowej. Ale ja się potem śmiałam, że ja przechodziłam przez bramę, „Dzień dobry” i szłam dalej, nie musiałam przepustki pokazywać. Bo to przeważnie byli panowie, którzy korzystali i dorabiali sobie przy tym ładowaniu balonów.

**MF: Czym jeszcze zajmowała się służba naziemna w sekcji balonowej?**

LP: Przede wszystkim jak zaplanowali lot, że inżynier Burzyński może przyjechać. On zwykle prowadził te szkolenia na naszym terenie, tak najwygodniej byłoby widocznie. No to wiadomo planowane. No to jak planowany lot, to trzeba było załatwić zgodę z góry, z lotnictwa. Już nie pamiętam jak się nazywała ta służba. Pamiętam, że zamawiałyśmy telefon na tak zwany lot ZAF czyli natychmiast połączenie było. Jak uzyskaliśmy zgodę, trzeba było meteo załatwiać. Jaka pogoda czy jakie kierunki, czy nie grożą jakieś burze. Załatwiać spadochrony - bo my lataliśmy z siedzeniowymi spadochronami.
Niezbyt wygodne. Ja sobie nie wyobrażam jakbym to otworzyła i wyskakiwała z tego. Spadochrony załatwiało się z lotniska tutaj pod Sączem co jest to duży lotnisko.

**MF: Łososina?**

LP: W Łososinie. Także od nich. Oni nam przywozili te spadochrony. Obowiązkowo musiał być spadochron. Potem musieliśmy sobie zabezpieczyć samochód, który pojedzie po balon po wylądowaniu. Naturalnie wszystko udostępnione z zakładów, dzięki przychylności. Oprócz naszych zawsze parę osób z członków było plus ta straż przemysłowa. No i potem wiadomo: meldowanie o starcie, meldowanie o lądowaniu. O wszystkim trzeba było dać znać. To należało do nas. Także wiele spraw się załatwiało przed lotem dużo. 2- 3 dni no bo trzeba było wszystko uzyskać.

**MF: A co dla Pani było najbardziej ekscytujące w tym zajęciu?**

LP: Na „Lot ZAF, proszę łączyć z takim a takim”, zezwolenia wszystkie to taki ważny człowiek się czuł, że zbiera takie wiadomości, wydaje polecenie, że już mogą startować. Wydaje mi się, że to jakoś ekscytowało człowieka.

**MF: To ani była takim kapitanem naziemnym.**

LP: Nie, koleżanka bardziej - Jadzia Malcówna. Ona pracowała w kontroli technicznej, ona kończyła Uniwersytet Jagielloński, kierunek chemię. A reszta to była albo szkolący się piloci, tam jak wymieniani są, ewentualnie sympatycy. Mój szef akurat, to był właśnie inżynier Zygadło także wiedział, że lecę na chlorownię na przykład, żeby być przy ładowaniu i ewentualnie meldować, załatwiać wszystko.

**MF: Ile było, mniej więcej, lotów w roku?**

LP: Jak była dobra pogoda i widzieliśmy, że jest możliwość startu. Od inżyniera Burzyńskiego byliśmy zależni, kiedy mógł przyjechać. Właśnie znalazłam bo już nie pamiętam, że Józiu Woźniak szósty lot odbywał, to był ostatni lot. Czyli musiał mieć sześć lotów szkoleniowych z pilotem
i potem dopiero mógł samodzielnie lecieć, zdać egzamin jako kierujący.

**MF: Pani Leokadia odbyła tylko jeden lot balonem. Ale wspomnienia z tego lotu ciągle żyją w pamięci.**

LP: Lecieliśmy na jednym locie z inżynierem Barem i Burzyńskim, znanym pilotem sprzed wojny, który zdobył puchar Gordona Bennetta. On przyjeżdżał, legenda. Jeden z pierwszych, który zdobył w Ameryce. Polecieliśmy z nim, wylądowaliśmy koło Biecza.

**MF: Kawał drogi.**

LP: W linii prostej to jest blisko. Ale wrażenie cudowne... Ja życzę wszystkim żeby doznali takiego lotu w ciszy, bo ja sobie nie wyobrażam jak wprawdzie jest to ciepłe, gorące powietrze to przecież jest huk, jest szum, w prawdzie co chwilę włączają. Słyszy się ciszę w tym balonie, jak się leci. A cudowne głosy dochodzą z ziemi. Doskonale słychać. Nie wiem czy Pani miała czasem takie okazje, w nocy gdzieś dochodzi się do jakiejś wioski, wieczorem, późno. I z dala słyszy Pani jak psy szczekają. I cisza taka. Teraz to już nie ma tej ciszy, jak my przeżywaliśmy. To właśnie coś takiego było. Z góry jak się leciało, bo lecieliśmy na 1025 metrów wyskoczyliśmy z chlorowni startując. Trzeba było moment opróżniać. Każdy miał za zadanie balastu się pozbyć. Jak ktoś stał na dole to mógł piaskiem dostać. Ale przerażenie moje w pierwszej chwili, bo chlorownia umiejscowiona była za elektrownią, a elektrownia miała dwa olbrzymie kominy, które już nie istnieją. Akurat był taki kierunek wiatru, że lecieliśmy prosto na te kominy. Wrażenie niesamowite, bo moment nas wybiło. Ale nie odczuwało się tego, że tak moment wyskoczyło. Potem inżynier Burzyński lot obniżył. Mówił, że przyjemniej się leci na niskiej wysokości.

**MF: Ta niska wysokość to jest ile?**

LP: 400 metrów, 500 - tak lecieliśmy. Niektórzy lecieli na wysokości 100 metrów. My lecieliśmy w stronę gór, więc troszeczkę wyżej musieliśmy.

**MF: I mówi Pani, że obłędna cisza.**

LP: Cudowna, naprawdę. Czegoś takiego to się nie przeżywa nigdzie. I nie teraz, kiedy jest ten szum samochodów.

**MF: Ale dobrze, że nie mieliście jakiegoś gaduły na pokładzie pani Leokadio.**

LP: Inżynier Bar zagadywał, bo akurat to była jesień, więc kopali ziemniaki. Zagadywał „A ziemniaki możemy? A może upieczecie nam te ziemniaki?”. Głos doskonale było słychać. Lecieliśmy najniżej na 400 metrach. Świetnie się słyszało przez tę ciszę. Nad polami lecieliśmy, na południe w stronę Biecza. Widok tych pól, lasów. Słyszy pani kury jak gdaczą wystraszone, uciekają bo nie wiadomo czy jastrząb czy co to leci. Jakiś cień.

**MF: A inżynier Burzyński to sława, wybitna postać.**
LP: Bardzo znana postać. Od przed wojny mam jego książkę, w której opisuje jak startowali w Stanach (Zjednoczonych) przed wojną.

**MF: A jak był w kontakcie?**

LP: Spokojny, flegmatyk wydaje mi się. Sympatyczny, taki bardzo życiowy, przyjemny. Jego żona chciała lecieć każdym lotem. Dlatego Jadzia mówi: „Nie poleci Burzyńska! Ty polecisz dzisiaj”, czy ktoś inny. Faktycznie ona często latała. Pięknie się leci, to korzystała z tego.

**MF: Aż nie wierzę w to, że pani tych kilka lat brała w tym wszystkim ludziom i tylko jeden lot pani zaliczała.**

LP: Tak, bo były loty szkoleniowe. Nie było miejsca, byli goście. Trzeba było przewieźć to jedną osobę zasłużoną, to drugą. Różnie było.

**MF: Ciekawe, czy gdyby dzisiaj pani się wybrała w taki lot balonem to czy poznała by pani nawet tą samą trasą lecąc. To zupełnie inny świat, prawda?**

LP: Na pewno nie, inny świat. Pamiętam, że jak zalecieliśmy tam, szybko lądowali. Ja musiałam biegnąć. Tam była leśniczówka akurat. Pobiegłam żeby zameldować, że już wylądowaliśmy. Leśniczyna za chwilę przychodzi i mówi „Ludzie się pytają kto to wylądował, a ja im powiedziałam że polscy kosmonauci”. Czasem takie różny przygody były. Przyjemnie było, że chociaż raz, prawie pod koniec, mogłam lecieć. Ja nie mogłam być pilotem, bo mi brakowało 2 centymetry wzrostu.

**MF: Co Pani powie?!**
LP: Przepisy mówiły, że trzeba było w mieć 1,56 m. Bo kosz jest wysoki, a ja niska. Teraz to już w ogóle bym była skreślona, bo bardzo zmalałam.

**MF: Czyli nie mogła pani zostać pilotem.**

LP: Nie mogłam, ale z przyjemnością korzystałam, załatwiałam… Zawsze coś nowego, coś innego. Ja jako dziecko miałam lęk wysokości (cichutki śmiech), ale to wszystko jest do pokonania.

**MF: Ten dziennik prowadzony jest…**

LP: Do samego końca, do ostatniego lotu.

**MF: Ostatni lot 22 lipca 65 roku.** **Czyli klub balonowy wznowił działalność w 61 i koniec był już w 65?**

LP: Tak, bo nie było zezwolenia na loty nad zakładami, nad miastami.

**MF: Czemu tak? Odgórnie?**

LP: To było strategiczne, że nie wolno. Może nieprzyjaciel zobaczy zdjęcia, bo my zdjęcia robimy. Odgórnie cofnęli pozwolenia na loty.

**MF: Pani Leokadio, po wojnie, po tych długich latach kiedy klub nie działał wznowił działalność i 4 lata cieszycie się tym znowu i ktoś mówi nie, koniec, nie można.**

LP: Wie Pani jakie były wtedy zakazy. Nie wolno i koniec. Zakaz lotu.

**MF: Był płacz?**

LP: Wiadomo, że szkoda. Żegnamy się. Koledzy zrobili sobie licencjaty, Józiu Woźniak ukończył i chyba Zdzisiu Szwed. Oni startowali potem w różnych innych zawodach, wykazane jest w tych lotach.

**MF: Ostatni lot „Poloneza” tutaj w klubie mościckim był jakoś odnotowany? Wiedzieliście, że to jest już ostatnia trasa?**

LP: Nie wiedzieliśmy o tym. To nagle przyszło, że odwołują, nie wolno nam startować. I tak zniknęło. Nawet nie wiem co z balonem się stało. Może Jadzia by wiedziała, ale już dawno nie żyje. Chyba już nikt nie żyje z tych, którzy mogliby wiedzieć.

**MF: Dalsze losy balonu „Polonez” są więc nieznane, a my powróćmy teraz jeszcze do najwcześniejszych wspomnień pani Leokadii, czyli do przedwojennych Mościc, które z wielu względów były miejscem niezwykłym.**

LP: Pamiętam, jak był kryzys i tato zwrócił uwagę, mówił „Popatrz, popatrz”. Z daleka było widać jak pociąg przyjechał z Hucułami. Inżynier Kwiatkowski zaprosił Hucułów żeby propagować nawozy sztuczne. Gdzieś miałam zdjęcie z Hucułami na naszym dworcu, jak przyjechali. Wrażenia inne były. Mościce były, jak jeden park, czysty, ładny, taki świeży. Ja zawsze byłam zakochana w naszej ulicy Akacjowej. Ona do dzisiaj się tak nazywa. Ale te akacje teraz mi się nie podobają a wtedy były jak zielone parasole, gęste kule, takie piękne. Można sobie wyobrazić. Wtedy jeszcze młode były. Chyba mam gdzieś ich zdjęcie. Chciałam pokazać tą ulicę (szeleszczą kalki z albumu) nie wiem czy tutaj mam. O, harcerstwo! Wszystko tutaj było. My byliśmy po wojnie złaknieni wszystkiego. Nigdzie się nie jeździło, na żadne wycieczki, żadne wyjazdy. Harcerstwo było dla nas wybawieniem. Imprezy, ogniska. Pod Domem Chemika wszystko się odbywało, bo tam była harcówka. Nie mam tego, chyba w innym albumie jest to zdjęcie naszej ulicy, te piękne akacje.

**MF: Dzieciństwo w takim miejscu jak Moście, jak pani mówi, że to wszystko było takie piękne takie nowe…**

LP: I takie zadbane. Tato nieraz zabierał mnie do hali sportowej. Pierwsza hala sportowa była naprzeciw Polminu, przed mostem na Białej. Przed wałami. To były pola, łąki takie, błonia. Tam stała pierwsza hala sportowa. Była szybko wybudowana, bo dbali o młodzież. Mam tablo, bo tato należał tam do kolarzy. Pewien inżynier miał zlecone zajęcie się organizacją, ażeby młodzież była czymś zajęta, zainteresowana. Był klub kolarski między innymi i tablo stamtąd jest. Naliczyłam coś koło 90. zdjęć. I oni wciągali w to młodych. Mieli swoje koszulki, czapki, ekstra byli wszyscy ubrani. Opiekowali się młodzieżą, żeby byli zajęci. Były zajęcia dla kolarzy. Na błoniach stały stoły, grali tam np. w brydża, kręgielnia była w hali sportowej, był ekran. Ja jeszcze byłam za mała na to, ale wiem, że raz ciocia przyjechała z dwoma synami i tato kazał siostrze iść na film jakiś, zabrać kuzynów. Mówi: „Idź pokaż im”. Oni z Inowrocławia przyjechali, bo tam rodzina ojca - Wielkopolska, Inowrocław, Bydgoszcz się umiejscowili. Takie były zajęcia. Klub sportowy, piłka nożna. Wszystko było.

**MF: Które to lata były?**

LP: Ja pamiętam to wszystko jako dziecko, wszystko przed wojną. Zawsze wspominam, jak świeże bułeczki pod dom przywozili. To było nieduże przecież osiedle, bo najpierw były inżynierskie domy i były cztery nasze bloki, co stoją w kwadracie przy Akacjowej, przy zajezdni. Pieczywo przywoził od Oleksego chłopak na rowerku. Z przodu miał taką paczkę. Ja patrzyłam przez okno kiedy przyjedzie z tymi pysznymi rogalikami i kajzerkami. Wyjmował kajzerki, panie wychodziły i kupowały bułeczki, zapisywało się w książeczkę. Potem tato mnie zabierał i szliśmy płacić do Oleksego. Jego sklep spożywczy był w obecnym archiwum i tam się raz w miesiącu regulowało za cały miesiąc. Takie większe zakupy też były organizowane tak, że można było zamówić i oni przywozili. O wszystkim było pomyślane.

Były korty tenisowe. Pamiętam, jakie piękne były te korty. Była taka para małżeńska. Inżynier Kłudnicki się nazywał. Miał młodą żonę. Chodzili razem na biało ubrani, ona w krótkiej spódniczce, w rękach rakiety. Mieszkali w tym domu, gdzie jest teraz UDT (Urząd Dozoru Technicznego), koło „Sezamu” (dom handlowy). Szli Jarzębinową, przed Kasynem, przed tym dużym budynkiem. Tam była brama i wchodziło się na korty tenisowe. Po lewej stronie były dwa korty, a przez środek były ławeczki, pergole pięknie obsadzone różami… W cieniu róż sobie siadali… Jak się nie zachwycać.

**MF: Inny świat.**
LP: Tak, to był inny świat. Biegałyśmy po tych alejkach, czyściutko. Strzałki na piaseczku rysowaliśmy, bo obok chodnika był piaseczek. Wszystko czyściutkie, drzewka piękne. W „starych” Mościcach dlatego zawsze będę zakochana. Ładnie było, było zadbane. Ale też był dobry ogrodnik, dlatego tak to wszystko wyglądało.

**MF: A park?**

LP: Do tego parku to chodziłam na maślaki w czasie okupacji. Tam były same sosenki, to jeszcze wszystko było małe a teraz jak idę to nie wiem skąd te drzewa liściaste? Były rzędy sosenek i się szło raniutko i się wyglądało grzybów. Mam takie zdjęcie… W 1941 byłam do komunii, miałam wtedy 8 lat, no to był gdzieś 1942, bo w sukience komunijnej idziemy na spacer z sąsiadami i jeszcze te sosenki są takie małe. To wszystko urosło, tak się zmieniło.

Mam jeszcze takie stare zdjęcia: jakiś Sylwester, przyjęcie z sąsiadami. Okazjonalnie zawsze ktoś te zdjęcia robił. Z terenu Mościc, z tych ulic starych zdjęcia robił bardzo często pan Baran. Chodził z aparatem i robił zdjęcia. Kazali mi nieraz stanąć „Stań tutaj, sukienka ładnie rozłożona”. Ja mam taką minę wściekłą, że mi kazali stawać i pozować. Tu akurat na tle posiadłości u znajomych, państwa Stachowiczów. Pan Baran chwytał: O! Tam pani podlewa grządki. Wszędzie mieliśmy grządki. Na blokach każdym miał maleńki ogródek wyznaczony. Każdy sobie uprawiał marchewkę, pietruszkę, szczypiorek, wszystko co potrzeba. Najbardziej mi się podobało, jak nas zaopatrywali w węgiel. Zawsze na zimę przyjeżdżał samochód i panowie znosili w koszach węgiel do komórki. Tam wysypywali. Mieliśmy wszystko gotowe, na miejscu. To były służbowe mieszkania.

**MF: Pani Leokadio. Pewno jak Pani była małą dziewczynką, to nie miała tej perspektywy, że dorasta pani w jakimś naprawdę w świetnym, nowoczesnym miejscu...**

LP: No naturalnie, że nie.

**MF: …ale potem, jak już była pani trochę bardziej zaznajomiona ze światem, nastolatką, potem dwudziestoparolatką to pojawiła się ta świadomość? Że te Mościce są rzeczywiście inne i rzeczywiście nowoczesne?**

LP: Tak. Bardzo dużo przyjmowali ludzi do pracy. Ludzie szukali mieszkań i rodzice też wynajmowali mieszkanie. Dom był wybudowany do użytku. W 1935 stał pod dachem a już w ‘38 roku już mieszkali lokatorzy.

**MF: Czyli pani tato, mając bardzo dobrą posadę w Zakładach Azotowych…**

LP: Budował dom, bo to jego było marzenie.

**MF: Ale ponieważ wygodnie się mieszkało w służbowym mieszkaniu to można było dom wynająć?**

LP: Tak. Poza tym bliżej mieszkaliśmy - na Szesnastce (Kasztanowa 16) - to jest ten budynek dwupiętrowy koło policji, stary z takimi półokrągłymi, szczytowymi klatkami schodowymi. Blok 16 był przed wojną wybudowany tylko nie zdążyli go wykończyć. I Niemcy blok wykończyli i tato tam dostał mieszkanie. Miałam cudowny widok, bo namawiałam tatę żeby było mieszkanie na drugim piętrze. Z drugiego piętra był widok aż do rzeki Białej… Słowiki, zboża szumiące... Pięknie. Potem, jak zaczęli budować kolejne bloki uciekliśmy do naszego domu. W naszym domu mieszkali państwo Czesakowie, pan Czesak też pracował na Zakładach. Była wymiana: my oddaliśmy dwupokojowe mieszkanie na Kasztanowej a on dostał na rogu Jarzębinowej i Topolowej i my się przeprowadziliśmy do domu. Od ‘57 już tutaj mieszkamy.

Tutaj za naszymi domami ulica się kończyła (ul. Szarych Szeregów). Hasiem była wysypywana, ale suchutka była, bo były rowy, o które się dbało. Odwodnienie prowadziło do stawów, które były koło dworca. Tam były stawy, jeszcze jak my się wprowadziliśmy to żaby rechotały. Zmieniło się na przestrzeni tych lat bardzo wiele.

**MF: Pani Leokadio, w kilku zdaniach: te Mościce pani młodości, pani dzieciństwa jak pani pamięta?**

LP: Czyste, piękne i zielone. Bardzo mi się to podobało. Poza tym wszyscy się znali, bo nie była nas duża grupa. Jako dziecko pamiętam jeszcze pierwszą szkołę… O właśnie, nawet miałam zdjęcie, siostra mi przysłała. Szkoła była w baraku, koło kaplicy. Jak stała nasza kaplica (na ulicy Kościelnej), to pierwszy po prawej stronie był barak a w nim szkoła podstawowa dla pierwszych klas. To było tak zrobione, żeby dzieci przez tory kolejowe nie przechodziły. Jedna szkoła była za torami, potem było tam koło gospodyń, kółko rolnicze. Tam taka chatka drewniana stoi za dawnym przejazdem. Jak się przez most przejeżdża, przez ten wiadukt - to po lewej stronie. Tam jest stacja benzynowa i taki walący się już budynek. To była szkoła podstawowa dla tych dzieci, które zza torów były. Żeby przez tory nie przechodziły. Moja siostra chodziła do tego baraku. Ja z okna widziałam jak w lecie (jak już ciepło było) młodzież wychodziła i się bawiła na łące ogrodzonej płotem. Tu, gdzie stoi przedszkole była ochronka. To jeszcze pozostałości po Sanguszkach, bo tereny Sanguszków wykupione były przez Zakłady Azotowe, od niego przecież ten majątek. I tam były zakonnice i ochronka. Ja tam chodziłam, ale płakałam, nie chciałam chodzić do tej ochronki, nie podobało mi się.

A na dole, bo tu wszędzie mokradła były, to był staw i w zimie tam jeździły dziewczyny, dzieci na łyżwach. Wszędzie coś było organizowane. Ta górka koło poczty też była duża i na sankach zjeżdżaliśmy z tej górki. A teraz już się nie da, bo to spłaszczone wszystko jest... Zmieniło się bardzo wiele…